Nr. 16. | Należ. poczt. opłac. ryczałtem | We Lwowie, 16. sierpnia 1928. Rok 50.

ŁOWIEC

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 7·50 złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedyńczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 90 zł, 1/2 str. 50 zł 1/4 str. 30 zł, 1/8 str. 15 zł, 1/16 str. 10 złp., 1/32 str. 5 zł. -- Ogłoszenia wewnątrz tekstu o 50 % drożej.

Redakcja i administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p. (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godziny biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we wtorki i piątki, o godzinie 12-tej. Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. P. K. O. Konto Nr. 145.839. Telefon Nr. 18-59.



Czasy ochrony zwierzyny (Art. 48 i 49) dla Małopolski.

(Ciemne pola oznaczają czas ochrony)

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Paździer.	Listopad	Grudzień
Jelenie-byki, daniele-rogacze	■	■	■	■	■	■	■	■			■	■
Sarny-kozły		■	■	20								
Borsuki	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Wiewiórki*)			■	■	■	■	■	■	■	■		
Głuszce-koguty	■	■	15		15	■	■	■	■	■	■	■
Cietrzewie-koguty						■	■	15				
Jarząbki		■	■	■	■	■	■	15				
Bażanty-koguty		■	■	■	■	■	■	■				
Przepiórki	■	■	■	■	■	■	■	■				
Słonki					15	■	■	15				
Bataljony						■	10					
Dzikie kaczory						■	10					
Dzikie kaczki (samice i młode) oraz inne ptactwo wodne i błotne			■	■	■	■	10					

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Paździer.	Listopad	Grudzień
Dzikie łabędzie i dzikie gęsi					15	■	■					
Dropie*), dropie kamionki (strepety), dzikie gołębie, drozdy, kwiczoły, paszkoty		■	■	■	■	■	■	15				
Ptaki krukowate i drapieżne z wyjątkiem jastrzębi gołębiarzy, krogulców, wron i srok		■	■	■	■	■	■	15				
Żubry, bobry, kozice, świstaki, samice i cielęta: łosia, jelenia, daniela, sarny-kozy i koźlęta, niedźwiedzice od niedźwiątek, głuszce-kury, bażanty-kury, czarne bociany oraz w województwach: pomorskiem, poznańskiem, warszawskiem, łódzkiem, kieleckiem, lubelskiem, krakowskiem, lwowskiem, tarnopolskiem i stanisławowskiem cietrzewie i kury.	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■

*) Na mocy dodatkowego rozporządzenia Prez. Rz. ochrona przez cały rok do odwołania.

Z Wydawnictw.

ECHA LEŚNE, Warszawa, Nowy Świat 36-4, pod redakcją Leonarda Chociłowskiego, miesięcznik ilustrowany, wydawany przez *Związek Zawodowych Leśników w Rzeczypospolitej Polskiej*, poświęcony sprawom naszego leśnictwa zasługuje słusznie na zainteresowanie się nim i w kołach naszych łowieckich tak ściśle z leśnictwem związanych. Prenumerata kosztuje zł. 2·70 kwartalnie. Nr. 7. z roku bież. (Rok V.) zawiera:

Do Czytelników — Inż. Wł. Barański: Lasy chlubą i podporą Polski — Jan Miklaszewski: Lasy i Leśnictwo w Polsce — Jan Kloska: Dziwna choroba sosny — A. M-ski: Sosna (wiersz) — Juljan Ejsmond: Drzewa (bajka), — Stefan Ruśkiewicz: Szkody powstające przy pozyskaniu użytków głównych — Leon Pęski: Modrzew — Inż. Jan Kowski: O szkodliwych zwójkach sosny z rodzaju sieciowica (Ewetria) — Inż. Feliks Bonasewicz: W sprawie ścinania drzew — Z łowiectwa — Wacław Sieroszewski: Willa nad morzem — Dr. Marjan Sokołowski: O powstaniu idei ochrony przyrody — Z przyrody i techniki — Rozmaitości naukowe, Rzeczy ciekawe, Echa ze świata, Rzeczy radosne — Z miesiąca — Kronika bieżąca — Ze sportu — Radjo, Repertuar teatr. warsz. — Z ruchu wydawniczego — Życie gospodarcze — Z niwy leśnej — Wł. St. Reymont: W porębie — Dodatek Rolniczy.

Sprostowanie.

W 15. nr. „Łowca" w sprawozdaniu z W. Zgrom. M. T. Ł., wiersz 4, str. 218, ma być *zwierzostanów*, a nie *dzierżawców*.

NR. 16. WE LWOWIE, 16. SIERPNIA 1928. ROK 50.



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

SEWERYN KROGULSKI

PÓŁ WIEKU!

(Ciąg dalszy)

Jak jednak niesłychanie trudno było w zamęcie wojennym pracować kolegjalnie, dowodzą zapiski. I tak: drugie z kolei poinwazyjne posiedzenie Wydziału G. T. Ł. mogło odbyć się dopiero 25 czerwca 1916, t. j. po upływie jedenastu miesięcy od poprzedniego, w r. 1917 żadne, trzecie zaś aż 3 lutego 1918 r.

Z tego wynika, że przez cały okres powyższy musiano wszelkie sprawy załatwiać prezydjalnie, z pełną za ich rezultat odpowiedzialnością wobec Wydziału Towarzystwa, władz rządowych i społeczności myśliwskiej.

Roczniki „Łowca" z doby 1915-1918 stwierdzają niezbicie, ile to trzeba było podjąć energicznych starań i włożyć pracy, aby podtrzymać rozpoczętą i umożliwić dalszą akcję odbudowy zniszczonego łowiectwa

Bezustannie czuwano nad tem aby cel ten osiągnąć.

Przy każdej zmianie namiestnika kraju, udawało się Prezydjum Towarzystwa do nowego władcy z ustawą, statutem i rozporządzeniami poprzedniego wielkorządcy w ręku, by udowodnić swoją kompetencję w domaganiu się wydania dalszych obostrzonych zarządzeń celem ochrony łowiectwa od nowych szkód.

Memorjały G. T. Ł., oraz wszystkie na skutek tychże wydane zarządzenia przez b. c. k. namiestników wojennych we Lwowie, a więc gen. Colarda, Dillera i Huyn'a, podawał „Łowiec" do wiadomości myśliwych, co dozwalało im orjentować się w sytuacji, a tem samem uchylać dość często wadliwe orzeczenia władz wykonawczych, oraz ukrócać swawolę wojskowych nemrodów.

Skutkiem tych działań poczyna ożywiać się niwa łowiecka. Niektórzy delegaci zabierają się poważnie do spełniania statutowych i obywatelskich obowiązków, a przykład ten zachęca wielu innych do pracy.

Wydział Towarzystwa „ex praesidio" przyjmuje kilkudziesięciu nowych członków, mianuje kilkunastu delegatów, z radością wita powracających do kraju z uchodźtwa towarzyszy i dostarcza im „Łowca".

Pismo to, mimo szalonego podrożenia kosztów wydawnictwa, wychodzi regularnie i drukuje artykuły z każdej dziedziny myślistwa, zajmujące feljetony oraz korespondencje z całego kraju a nawet z pozycyj bojowych, tudzież sprawozdania z polowań.

W majowym zaś zeszycie „Łowca" 1916 r. z okazji siedmdziesiątej rocznicy urodzin Sienkiewicza, podpisany, w artykule p. t. „Sienkiewiczowi Myśliwemu", szkicuje postać jubilata jako myśliwego z krwi i kości, który, jako taki, wygląda ku nam z całego szeregu pism swoich.

Wszędzie w nich spotykamy nietylko artystę i niezrównanego pisarza, ale i prawdziwego myśliwca, który sam chadzał po tropach zwierzyny na trzech kontynentach, i bezpośrednio obcując z wielką przyrodą, zebrał z tych przeżyć i dał nam cały skarb niebotycznych wrażeń, wzruszeń i dreszczów myśliwskich.

Gdy więc w onej chwili płynęły zewsząd do Vevey wyrazy czci dla dostojnego Jubilata — Towarzystwo nasze, dając mu jedno z pierwszych miejsc hierarchicznych w almanachu myśliwych współczesnych, uczciło go telegraficznie temi słowy: „Mistrzu! W wielką rocznicę Twoich urodzin, G. T. Ł., życząc Ci spełnienia się najgorętszych Twych pragnień, składa Ci w hołdzie, co najcenniejszego posiada: godność członka honorowego“.

(Prezydjum: Juljusz Bielski, Seweryn Krogulski).

Dużo też i mogił w tym czasie nam przybyło. Znak nasz często okrywa się kirem.

Na zamku łańcuckim umiera 24 września 1915 r. ordynat Roman hr. Potocki, który wziąwszy buławę z rąk Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego, hetmanił nam przez pełnych lat dwadzieścia (1882-1902).

Zasługi Jego na polu łowiectwa, dawno już z uznaniem i wdzięcznością uczciło G. T. Ł. godnością członka honorowego, „Łowiec“ zaś oddał cześć Jego pamięci w nekrologu.

Za nim poszli też w Nieznane zasłużeni towarzysze: Jan Ludwig, J. Łysakowski, Robert Sander, Erazm Rudziński i najstarszy wiekiem — 87 lat — weteran z walk wolnościowych oraz z pod znaku św. Huberta, Władysław Bużenin Mniszek.

* * *

Przedmiotem obrad posiedzenia Wydziału z dnia 25 czerwca 1916, w którem pod przewodnictwem wiceprezesa J. hr. Bielskiego uczestniczą: S. Krogulski, Dr. Józef Ekielski, M. Małaczyński, Dr. Ludwik Roehr i dr. A. Sander, były sprawy następujące:

1. Protokół z ostatniego posiedzenia Wydziału;
2. Sprawozdanie z czynności za czas od 31 lipca 1915 do 25 czerwca 1916;
3. Zamknięcie rachunków fund. G. T. Ł. za r. 1915.
4. Wnioski członków.

Po wysłuchaniu sprawozdania z czynności Wydziału, *expraesidio* dokonanych a powyż omówionych, również po przyjęciu do wiadomości i zatwierdzeniu spraw porządku dziennego — uchwalono na wniosek Dr. Sandera poczynić starania, aby pierwsze powojenne Walne Zgromadzenie Towarzystwa odbyło się — w razie możności — wyjątkowo w Krakowie.

W ciężkiej trosce o zagrożony byt „Łowca“, z powodu braku funduszów, postanowiono jeszcze raz zaapelować do sumienia niewdzięcznych dłużników, aby powinność swą spełnili jak najspieszniej. Zbrodnią bowiem byłoby dać upaść czasopismu, które jest światłem i duszą polskiego łowiectwa.

C. d. n.

ALBERT MNISZEK

Z dziedziny broni i amunicji.

Ciąg dalszy.

4. Pocisk w drodze.

(Chyżość, siła przyciągania ziemi, opór powietrza, razancja, dalekonośność, strzał w górę i w dół).

Razancją nazywamy tendencję pocisku utrzymania się w torze możliwie płaskim.

Dla myśliwego przy strzelaniu do celów bliskich i wielkich (dzik, jeleń w polowaniach z nagonką), razancja, będąc tylko świadectwem stopnia energji pocisku, nie ma praktycznego znaczenia. Przy strzałach jednak dalszych (od 100 do 300 m.) jest ona czynnikiem bardzo ważnym, gdyż płaskość toru pocisku zwalnia myśliwego od potrzeby oszacowywania odległości i chroni go od popełniania pod tym względem bardzo przykrych pomyłek. A wiemy z doświadczenia, jak łatwo w wolnym terenie i przy rozmaitem oświetleniu takich pomyłek się dopuszczać.

Płaskość toru zależy od stopnia chyżości początkowej pocisku, gdyż im prędzej pocisk będzie u celu, tem mniej czasu siła przyciągania ziemi i opór powietrza mieć będą na hamowanie jego lotu, zależy też od właściwości, a więc wagi i kształtu lecącego pocisku.

Mniemanie, że kalibry większe umniejszają razancję, jest błędne. Kaliber broni nie ma na nią żadnego wpływu. Pocisk 6·5 mm o 23 mm długości i 420 msc chyżości wykazuje większą krzywiznę toru, niż tej samej chyżości pocisk 11 mm.

Przy niewielkich stosunkowo odległościach myśliwskich, płaski tor pocisku zależy przedewszystkiem od chyżości jego początkowej, z której w ułamku swej pierwszej sekundy lotu, nie wiele jeszcze uronić zdołał. Z tego to powodu nie kładąc zbyt wielkiej wagi na obciążenie poprzeczne i bez zbytniego zmniejszenia razancji, można używać raczej w broni myśliwskiej pocisków lżejszych i krótszych, niż dłuższych i cięższych, koniecznych w karabinie wojskowym, które wymagają większego naboju prochu i ciężaru broni.

Wielkość razancji dla sztućców myśliwskich oznacza się w cyfrach przez najwyższe wzniesienie się toru 300 metrowego. Poniższa tabelka daje nam w ten sposób obraz razancji przy rozmaitych kalibrach broni i pocisków:

Chyżość w msc.	Najwyższe wzniesienie toru 300 metrowego przy długości pocisku	
	26—30 mm	20—25 mm
450	72	96
500	60	74
550	52	62
600	45	52
650	39	45
700	32	40
750	27	35
800	23	30
850	20	27
900	18	24

* * *

W kołach łowieckich słyszy się nieraz wypowiadane zdanie, szczególnie przez myśliwych starego autoramentu, że broń małokalibrowa jest w użyciu niebezpieczną, gdyż wyrzuca pociski na bardzo wielkie odległości, nieopanowane wzrokiem strzelca, przez co naraża go na nieszczęśliwy wypadek zabicia lub zranienia człowieka. Zapatrywanie to jest błędne.

Pomijając okoliczność, że żadna broń w rękach przezornego i rozważnego myśliwego nie może mu dać powodu do niepokoju, gdyż nie wypuści on nigdy kuli w warunkach przedstawiających choćby cień niebezpieczeństwa jakiegoś wypadku, a więc n.p. do zwierza stojącego na linji horyzontu, lub naprzeciw osiedli ludzkich, to liczyć się z tem należy, że strzela się zwykle w położeniu osi lufy poziomem, a nawet zniżonem ku ziemi, pocisk więc uderza niedaleko za, lub przed celem w ziemię, o ile strzał był chybiony, lub jeżeli pocisk nie zatrzymał się w ciele zwierzęcia. Twierdzenie, że broń małokalibrowa o płaszczykowych pociskach przedstawia większą możliwość postrzelenia lub zabicia kogoś w przestrzeni wzrokiem strzelca nieopanowanej jest z gruntu fałszywe, gdyż najwyższa osiągalność długości toru przy broni małokalibrowej wynosi około 4000 m., broni zaś o pociskach ołowianych około 3000 m. Z tego wynika, że oba te rodzaje broni pod względem stopnia niebezpieczeństwa na dalekie odległości są sobie równe, gdyż tak samo teren w odległości 3000 jak i 4000 m. przez strzelającego wzrokiem opanowanym być nie może.

Przy strzelaniu w kierunku pioziomym osi lufy, pocisk uderza w ziemię: przy chyżości początkowej 750 msc. w odległości 320—360 m., przy chyżości 400 msc. w odległości 200—250 m. Nie może więc być mowy o dalszym locie pocisku, chyba w wypadku odbicia się go o ziemię, czyli tak zwanego rykoszetu. W tym razie pocisk lecieć może dalej w zupełnie nieprzewidzianym kierunku.

W tym względzie broń myśliwska, choćby najdalej niosąca, o pociskach częściopłaszczykowych o wiele większą daje myśliwemu rękojmię przed nieszczęśliwym wypadkiem, aniżeli broń o pociskach ołowianych. Pocisk częściopłaszczykowy uderzywszy i zarywszy się w ziemię, ekspanduje w niej i zostaje, rzadko więc bardzo sprowadza rykoszet, gdy pocisk ołowiany przy uderzeniu w ziemię co najwyżej się deformuje i odbiwszy się od niej, leci dalej. Pamiętać też należy, że pocisk uderzający z energją mniejszą łatwiej sprowadza rykoszet od pocisku o wielkiej energji, jakim jest wyrzucony z nowoczesnej małokalibrowej broni.

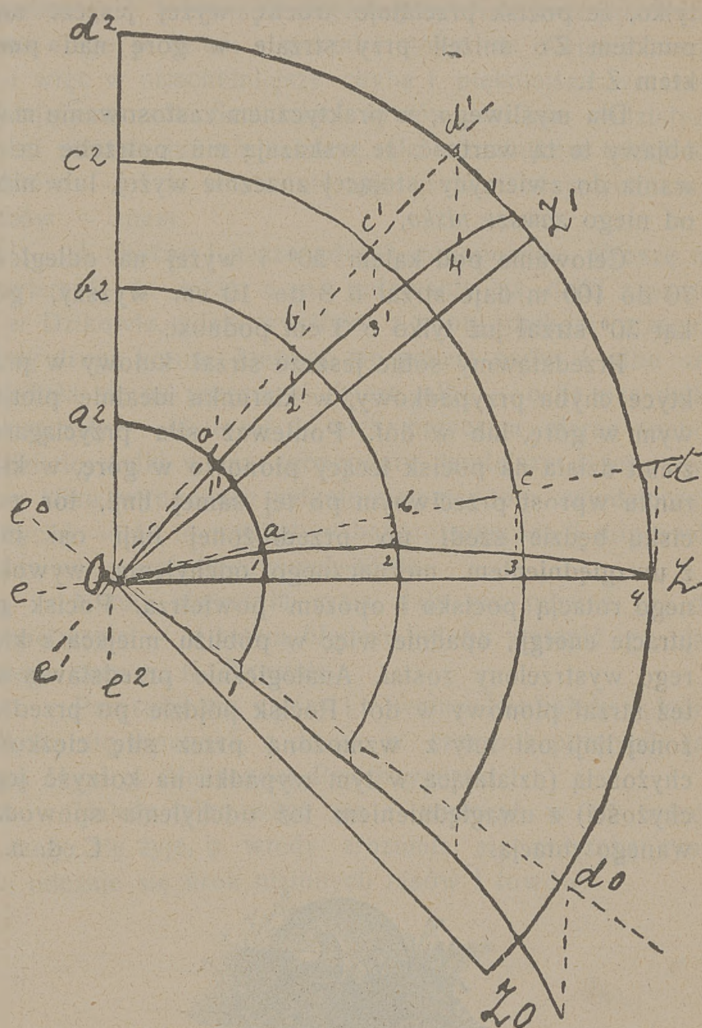
Myśliwy, jakąkolwiek broń kulową, starego czy nowego typu, mając w ręku, wiedzieć powinien, że każda z nich na tyle jest dalekonośną, iż pocisk z niej wyrzucony poleci w przestrzeń dla niego niewidzialną, dlatego powinien unikać strzałów lekkomyślnych, do celów terenem nieograniczonych, z zwróconą lufą ponad linję poziomu, jak n. p. do siedzącego na drzewie ptaka, lub do stojącego na szczycie pagórka kozła. Mając te środki bezpieczeństwa na względzie, strzelać może spokojnie z broni dającej mu strzał o maksymalnej chyżości pocisku. Rzecz sama przez się zrozumiała, że z powodu możliwości rykoszetów, pociski całopłaszczykowe o wiele większe od pocisków myśliwskich (częściopłaszczykowych) przedstawiają niebezpieczeństwo.

Strzał śrutowy, chociaż obejmuje przestrzeń lotu śrucin dla myśliwego widzialną, wymaga też pewnej z jego strony ostrożności. Śruciny o średnicy 2½ mm. dolatują na odległość 150 do 250 m., o 4 mm., średnicy na odległość 250 do 350 m., dosięgając najdalszej swej mety w 8. sekundach. Strzał dany poziomo uderza śrucinami w ziemię na przestrzeni 60 do 160 m., zależnie od ich wielkości.

* * *

Tor pocisku spłaszcza się szczególnie wtedy, kiedy siła przyciągania ziemi na całej przestrzeni jednakowo działa, t. j. jeżeli oś lufy leży w położeniu poziomem, a więc i linja lotu pocisku jest możliwie poziomą.

Jak widzimy na załączonej rycinie, przy kierunku osi lufy (linja c d) siła ciężkości działa w stosunku do niej prawie prostopadle, Tymczasem jeżeli lufę podniesiemy w górę i linję osi będzie przedstawiać linja e^1 d^1 lub lufę spuściwszy na dół (linja c^0 d^0) to siła ciężkości działać będzie z pewnem odchyleniem od kierunku prostopadłego. Z tego wynika, że przy strzelaniu pod wielkim kątem w górę, czy w dół, tor jest więcej wyciągnięty.



Różnice w torze pocisku przy strzałach w górę i w dół.

Przy strzale poziomym trafia linja toru pocisku, wystrzelonego z punktu O na przestrzeni linji O Z w punkcie Z, przyczem przedłużona linja osi lufy pod małym bardzo kątem, d O Z się odchyla. Linje Oa, ab, bc, i cd dają obraz coraz to zmniejszających się etapów, które pocisk w równych odstępach czasu odbywa; linje a^1, b^2, c^3, i d^4 oznaczają miarę opadu, któremu pocisk w kierunku prostopadłym do przedłużonej osi lufy pod wpływem siły ciążenia podlega.

Jeżeli teraz przesuniemy nasz cel do punktu Z^1, pod znacznym więc kątem w stosunku do poziomu w górę, a odległość jest ta sama, (linja OZ równa się linji OZ^1) to kąt $d^1 O Z^1$ równy być musi kątowi d O Z, gdyż na tę samą odległość strzela się przez tak samo nastawioną szczerbinę (wizjer).

Tak samo równemi będą etapy ($Oa^1 = Oa$ etc.) i odstępy w opadach ($a^1 1 = a\,1$, $b^1 2 = b\,2$ etc.). Lecz kierunek siły ciążenia do przedłużonej osi lufy z powodu podwyższenia jej wylotu zmieni się znacznie. Tor pocisku znacznie bowiem zbliżył się do linji osi lufy i nie przecina jej już w punkcie Z^1 lecz biegnie powyżej dalej. Ponieważ w tym wypadku droga pocisku nieco się przedłuża, temsamem przedłuża się i czas jego lotu.

Te same objawy balistyczne, jak na rycinie widzimy, towarzyszą strzałowi z góry w dół z tą różnicą tylko, że pocisk przelatuje trochę wyżej jeszcze nad punktem Z o aniżeli przy strzale w górę nad punktem Z 1.

Dla myśliwego, w praktycznem zastosowaniu mają objawy te tą wartość, że wskazują mu potrzebę celowania do zwierzyny stojącej znacznie wyżej, lub niżej od niego *zawsze nisko,*

Celowanie pod kątem 50^0 i wyżej na odległość 70 do 100 m daje strzał o 8 do 10 cm wyższy, gdy kąt 30^0 strzał już tylko o 3 cm podnosi.

Przedstawmy sobie jeszcze strzał kulowy w praktyce chyba przypadkowy, w kierunku idealnie pionowym w górę, lub w dół. Ponieważ siła przyciągania ziemi działa na pocisk lecący pionowo w górę, w kierunku wprost przeciwnym po tej samej linji, tor pocisku będzie szedł po przedłużonej linji osi lufy z uwzględnieniem nieznacznego odchylenia, wywołanego rotacją pocisku i oporem powietrza. Pocisk po utracie energji, opadnie więc w pobliżu miejsca z którego wystrzelony został. Analogicznie przedstawia się też strzał pionowy w dół. Pocisk pójdzie po przedłużonej linji osi lufy z wzmożoną przez siłę ciężkości chyżością (działającą w tym wypadku na korzyść jego chyżości) z uwzględnieniem też odchylenia spowodowanego rotacją. C. d. n.



HIERONIM TARNOWSKI

NA MARGINESIE „MORITURI“

(ŚLEPY O KOLORACH)

Istotnie ślepy o kolorach, bo rysie widziałem tylko wypchane. Mimo to pozwolę sobie zabrać głos w sprawie, poruszanej przez p. K. Strzemię, jestem bowiem zdania, że sprawa ta dotyczy nietylko samego rysia, ale zasad łowiectwa i hodowli wogóle. Tu zaś, jak pod każdym względem, powinno być staraniem naszem, wniknąć w wielką mistrzynię — przyrodę. „Natura parendo vincitur“ — nie przez gwałt zadany naturze, ale jedynie przez zrozumienie myśli w niej zawartej, dojść możemy do prawdziwie słusznej konkluzji.

Czem jest drapieżnik w życiu przyrody? — Policją sanitarną. — Najjaskrawszemi przykładami są kruk, sęp i hyena, którym instynkt ich każe zjadać to, co mogłoby wśród innych zwierząt spowodować zarazę, to jest padlinę. Ale prewentywna działalność przyrody nie ogranicza się na tem. Jej chodzi także o racjonalną hodowlę wszystkich gatunków zwierząt, o to, by rodzice przyszłych pokoleń zwierząt były to jedynie indywidualnie zdrowe i silne, ze wszech miar zdatne do spłodzenia i zrodzenia zdrowego i silnego potomstwa. U zwierząt, w stanie natury, nie istnieją sanatorja, dzięki którym słabo rozwinięte i chorowite indywiduum mogłoby stać się dobrym reproduktorem, czy matką. Nie pozostaje więc naturze nic innego, jak indywiduum takie, które w przyszłości byłoby niepożądane dla hodowli danego gatunku zwierząt, usunąć, zanim stanie się ono zdatnem do rozpłodu. I to właśnie jest mojem zdaniem celem i racją bytu drapieżników: rysia, żbika, lisa. Pan Aleksander Przedrzymirski stwierdza, że łupem rysia stają się „tylko najsłabsze cielęta jelenie“ — ja stwierdzić mogę to samo odnośnie do lisów i koźląt sarnich. Zdaje mi się, że oba ta przykłady potwierdzają moją hipotezę, że drapieżniki służą w gospodarstwie natury do usuwania indywiduów, których rozmnażanie się spowodowałoby degenerację danego gatunku zwierząt.

Może się bardzo mylę -- powiedziałem z góry, że mówię jak ślepy o kolorach. Nie da się jednak zaprzeczyć, że tam, gdzie dla błędnie — mojem zdaniem — zrozumianej hodowli jakiejś zwierzyny, tak zwanej „pożytecznej“, wytępiono doszczętnie tak zwaną zwierzynę „szkodliwą“ — tam zjawiają się choroby epidemiczne, dziesiątkujące ten właśnie zwierzostan, który przez wytępienie drapieżników chciano ochraniać. Przykładem jest choćby syfilis zajęczy, który wystąpił w roku zeszłym w Małopolsce, tam, gdzie dla masowej hodowli zajęcy, wytępiono doszczętnie lisy. Mojem zdaniem, jeżeli nie jednym z powodów bezpośrednich tej choroby, to w każdym razie jedną z przyczyn, które stworzyły podatne dla niej podłoże, było to, że reproduktorami i matkami stawały się indywidnalnie słabe i chorowite, które, gdyby naturze pozostawiono jej bieg, byłyby się stały w wieku dziecinnym łupem lisów.

Przykład mniej jaskrawy, ale dowodzący tego samego, mam u siebie z sarnami. Przed wojną dla ochrony sarn tępiłem lisy, kopałem je z jamnikami, straży leśnej nakazałem przy spotkaniu strzelać do lisów. Miałem wówczas zwierzostan sarni liczniejszy, ale jakość rogów znacznie gorszą niż obecnie, kiedy lisów wprawdzie nie hoduję, lecz ich i nie tępię, tylko zachowuję je na polowania jesienne. Wobec faktu, że przed wojną karmiłem w zimie sarny intensywniej niż obecnie, przekonany jestem, że przedwojenne pogarszanie się jakości rogów sarnich w Rudniku spowodowane było uniemożliwieniem przezemnie tej selekcji reproduktorów i matek, której wykonawcą jest w myśl przyrody odnośnie do sarn, lis. Spowodowane ono było także i tem, że przed wojną nie prowadziłem odstrzału hodowlanego rogaczy nierozwiniętych i zmarniałych — a odstrzał ten jest w działaniu myśliwego tem samem, czem w życiu natury jest zjedzenie słabowitego koźlęcia przez lisa.

Jednem słowem, stopniowa degeneracja sarn w Rudniku przed wojną spowodowana była naruszeniem przez błędnie zrozumianą hodowlę, tego doboru naturalnego i tej równowagi, którą utrzymać chce przyroda.

Naruszenie celowości przyrody i naturalnej równowagi w jakiejkolwiek dziedzinie, musi pociągnąć za sobą skutki ujemne. Tak, jak w leśnictwie sztuczne zastąpienie lasów mieszanych przez czyste bory sosnowe, bez względu na siedlisko, wytworzyło podłoże dla masowego rozmnażania się szkodników sosny, niszczących obecnie setki tysięcy morgów lasów sosnowych — podobnie ma się rzecz z życiem fauny. A skoro już mowa o leśnictwie, to pozwolę sobie przytoczyć zdanie, które powtarzał nam często na wykładach hodowli lasu na Akademji leśnej w Monachium profesor Henryk Mayr, wielki zwolennik drzewostanów mieszanych i naturalnego odnawiania lasów: „Man soll nicht gescheiter sein wollen, wie der liebe Herr Gott es ist“.

A więc w zastosowaniu do łowiectwa: dzik zjada miljony pędraków i larw, szkodników leśnych; ryś, żbik, lis zjadają młode osobniki zwierzęce, które gdyby dorosły, byłyby szkodliwe dla hodowli danego gatunku zwierząt — a wytępienie ich doszczętne naruszyłoby tę równowagę, którą mądrzejsza od naszej myśl, zaprowadziła w przyrodzie.

Zdaje mi się, że dotychczas szedłem zupełnie po myśli p. Aleksandra Przedrzymirskiego. Proszę Go więc o przebaczenie, że obecnie wystąpię z Nim — o 20 lat dłużej odemnie pod chorągwią św. Huberta służącym i bez porównania więcej w niej zasłużonym — do walki. Jestem dzieckiem równin, a choć czar gór, w pełni, zdaje mi się, odczuwam, muszę przecież stanąć w obronie tych lasów, które mnie na myśliwego wychowały.

P. Aleksander Przedrzymirski pisze, że „w dołach“ są tylko hakatomby zajęcy, bażantów i kuropatw i falangi na pół oswojonych sarniąt“. Doprawdy? Gdyby tak pisał myśliwy czeski czy austrjacki, tobym się nie dziwił — ale myśliwy polski, jak może zapomnieć o wspaniałych ostępach Podlasia i Wołynia, o niesamowitym a nieprzepartym urokiem owianych mszarach i rojstach Polesia, a wreszcie o „puszcz litewskicch przepastnych krainach“, o tych ostojach grubego i najgrubszego zwierza?

Gdzie na świecie tok głuszca bardziej jest uroczy, jak tam? W Karpatach, gdy głuszec tokuje, natura jeszcze jest martwa, śnieg nieraz głęboki — tam w lasach

„których cień padał na koronne głowy
Wielkiego Gedymina, groźnego Mindowy“

jego hieratyczna, tajemnicza pieśń ma niezrównany akompanjament przyrody budzącej się do życia w świeżej zieleni podszycia leśnego, błękicie i czerni roztajonych wód, wiośnianym zapachu ziemi i krasie rozkwitających sasanków.

A łoś? Nie miałem szczęścia być na bekowisku, ale od starszych i szczęśliwszych braci w św. Hubercie — i to od takich, co nie jedne i nie byle jakie wieńce jelenie zdobyli w Karpatach — wiem, że nie ustępuje ono w niczem karpackiemu rykowisku.

P. Aleksander Przedrzymirski jest zdania — takie przynajmniej wrażenie odnosi się z Jego artykułu — że na „dołach“ są jedynie rekordowi strzelacze, ale myślistwa w prawdziwy, szlachetny sposób nikt tam nie pojmuje. Na to pozwolę sobie zapytać, w jaki sposób poluje się na niedźwiedzia w Karpatach? W nocy, z ambony, przy przynęcie, a zatem — powiedzmy prawdę — w sposób skrytobójczy Na Litwie polowano na niego w dzień, z psami i stojąc na świętej ziemi, a więc w szlachetniejszy chyba i piękniejsze wrażenia dający sposób. Sam takich łowów ani nie widziałem, ani niestety już nie zobaczę, ale uczestników takich łowów — i to wcale nie nad grobem stojących starców — znam.

A choćby i nasze „doły“ małopolskie. Proszę mi wierzyć, że takie n. p. polowanie na dziki z psami w Dzikowie, gdzie wyszłym z miotu dzikom przecina się drogę konno, kierując się gonem psów i albo zajeżdża się na przesmyki dzicze, albo — o ile psy dzika osaczyły — idzie się do nich, przyczem nieraz dochodzi do walki wręcz (gospodarz tamtejszy i jego syn w kilku wypadkach jedynie ciętym psom zawdzięczają życie) — że to myślistwo bardzo wysokie i doprawdy nie wiele mające równych sobie.

Natura stworzyła rysia, dała mu pewien cel do spełnienia — a zatem błędem byłoby wytępić go, jak tego chce p. K. Strzemię.

Przyroda ma i góry i równiny. Nie należy w jedne tylko się wpatrzeć, a drugie w czambuł potępiać, jak to czyni p. Aleksander Przedrzymirski.

Należy tylko wżyć się i wniknąć w to, wśród czego się żyje, a wtedy zrozumie się potrzebę rysia i odczuje się urok nizinnych lasów i łowów.



ALEKSANDER PRZEDRZYMIRSKI

O rozwoju i terminach zrzucania rożków sarnich i wieńców jelenich

Zdawałoby się, że o przedmiocie tak powszechnie i wszechstronnie znanym, niema potrzeby już pisać, — tymczasem enuncjacje niektórych nowych autorów myśliwskich tak nieraz daleko odbiegają od rzeczywistości od dawna już ustalonej przez wiedzę i praktykę, że nie zaszkodzi młodszej generacji myśliwskiej przypomnieć stare prawdy, tem konieczniej, że wyobrażenia tej generacji łatwo być mogą wypaczone poglądem niezgodnym z rzeczywistym przebiegiem w tytule wymienionych objawów.

Męskie koźlę sarnie rodzi się zwykle od połowy kwietnia do połowy maja. Około połowy pierwszego roku swego życia dostaje (lecz nie musi dostać) malutkie guzikowate wyrostki rogowe, najczęściej ukryte w turzycy pokrywającej czoło, tak, że oko myśliwego dostrzec może w tych miejscach tylko malutkie wzniesienia i wichry w turzycy — nie dostrzegając samych guzików, które dopiero przy dotknięciu się ujawniają.

W ciągu pierwszej zimy swego życia traci koziołek niepostrzeżenie te guziki, a mniej więcej równocześnie z ukończeniem pierwszego roku życia, zazwyczaj nieco wcześniej, zaczynają mu wyrastać pierwsze szydłowate rożki szpiczaka, okryte scypułem, którego pozbywa się szpiczak nieraz aż w lipcu, — choć nierzadko zdarza się to i wcześniej. Te pierwsze rożki traci szpiczak najczęściej w zwykłym swoim terminie t. j. w październiku, opóźniając czasem nieco ten termin.

Bezpośrednio po zrzuceniu tych pierwszych rożków (wyraźnie: rożków, nie guzików) rozpoczyna się zrazu niedostrzegalny i powolny, następnie szybszy proces budowy następnych.

Około połowy marca ma kozioł zbliżający się do ukończenia drugiego roku życia, rożki już do połowy wyrośnięte, a w połowie kwietnia już zupełne, pokryte jednak scypułem, którego pozbywa się w maju, a czasem aż w czerwcu. Te drugie rożki rzadko posiadają odznaki widłaka, który u sarn jest wogóle rzadką formą, lecz zazwyczaj posiadają już po trzy odnogi, nadające rogaczowi piętno szóstaka.

Te drugie rożki traci rogacz w drugiej połowie października, rzadziej w pierwszej listopada.

Trzecie rożki, normalnie o znamionach szóstaka, wyrastają rogaczowi w trzecim roku życia zazwyczaj w lutym, a czwarte, o tych samych znamionach, już w styczniu, a dojrzewają często już w kwietniu, tak, że z końcem tego miesiąca czteroletni rogacz mimo zachowania jeszcze zimowej szaty, nosi już czysto wytarte letnie rożki.

Tak trzy jak i czteroletnie rogacze zrzucają rożki w październiku, a dojrzalsze (starsze) nawet z końcem września; u nich też wcześniej rozpoczyna się rozwój nowych rożków, tak, że nieraz już z początkiem stycznia widujemy starsze rogacze z zupełnie wyrośniętemi rożkami w scypule. Są to te rogacze, które już w kwietniu miewają czyste rożki, te, które często już z końcem września chodzą bez rożków.

Z stopniem szóstaka kończy się normalny rozwój rożków sarnich. Z biegiem lat zyskiwać mogą one na rozmiarach, ale zazwyczaj liczby trzech odnóg na jednym rogu nie przekraczają. Rogacze ósmaki, dziesiątaki, a znam

---

KAZIMIERA GŁĘBOCKA

Strzał w lesie

czyli

Kto zabił?

(Humoreska)

(Dokończenie)

Nazajutrz nie zdziwił się zbytnio ogromny kapitan Tatar, gdy major z Prusem i porucznikami Ewertem i Matulewiczem zjawili się u niego na pogawędkę. Wizyty takie między oficerami były częste i bezceremonjalne. Zresztą wiedział już oficjalnie o znalezieniu rogacza i rozumiał, iż sprawa ta tak niezwykła będzie omawianą u niego.

Co zaś wiedział nieoficjalnie, tem nie dzielił się z nikim.

Początkowo rozmawiano o oczekiwanem przybyciu pułkownika, potem ogólnie o polowaniu. Młodziutki porucznik Matulewicz zaczął wreszcie wzdychać nad zanikiem dyscypliny w wojsku, czego dowodem owo tajemnicze, podstępne ubicie kozła.

— Usłyszawszy ja o tem, za głowę się chwyciłem. I kto to? Powiedzcież że mi, panowie, kto?

— Ha, jest taki! — zgrzytnął Prus.

Ewert widząc, że się zanosi na nowy wylew żółci kapitańskiej, zagadnął prędko:

— A kuropatw, zdaje się, nie ma tu wcale, prawda?

— Pewno były — odparł major — lecz teraz się ich nie widuje.

Prus smutnie potakiwał głową.

— Oj, poszłoby się oto na kury, dzień, jak marzenie.

— Tak — rzekł Ewert — to jest polowanie, które chyba że najwięcej ma uroku. Zresztą każde jest piękne. Otóż przypomina mi okres polowania na kury u stryja mego w Poznańskiem. Byłem wtedy studentem i po raz pierwszy dłuższy czas na wsi. Pamiętam wszystko, jakby dziś się działo. Mój Boże, było — minęło.

Tu Ewert, ponieważ był poetą pułkowym, westchął czule nad swą minioną młodoćcią i zaczął opowiadać:

— Raz tedy poszliśmy na kury we trzech: stryj mój, staruszek rzeźki i zapalony myśliwy; ja i stary Gruchała, gajowy, czyli famulus i prawa ręka stryja. Jednem słowem: perła. Nadmieniam, że fuzję miał tylko stryj, który od czasu, jak zabiłem więcej sztuk od niego, nie pozwalał mi zabierać fuzji, gdy z nim szedłem. Jako czwarty błąkał się przy nas Tref, stary i notorycznie

nawet szesnastaki regularne, są to wszystko wybryki natury nie oparte na żadnem prawidle i niezależne od wieku.

Przechodzę do jeleni.

Męski cielak jeleni przychodzi na świat zwykle w drugiej połowie maja — chociaż nierzadko rodzą się cielęta jelenie jeszcze przeszło miesiąc później.

W 9 miesięcy po urodzeniu, a więc w lutym lub marcu roku następnego zaznaczają się na czole jelonka guzy, jako zapowiedź pierwszych rogów. Do września tego samego roku osiągnęły już te pierwsze rogi maximum swego rozwoju i szpiczak liczący 16—17-stu miesięcy życia pozbywa się scypułu, choć czasem zatrzymuje go aż do zrzucenia pierwszych rogów, co przypada nie prędzej jak w lipcu następnego roku, a więc w chwili, gdy szpiczak wstępuje w trzeci rok życia.

Teoretycznie, następny wieniec jelenia powinien posiadać odznakę widłaka, lecz tak samo jak u kozłów sarnich — jest ta forma także rzadką i u jelenia i najczęściej bywa przekroczoną i drugie w życiu rogi jelenia posiadają przynajmniej po jednej stronie po trzy, a nawet po cztery końce, zależnie od bujności paszy zamieszkiwanych przez niego lasów. Dalszy stopień rozwoju byłby szóstak, ale i ten bywa przeskakiwany i zamiast szóstaków widzimy ósmaki i dziesiątaki, a sam widziałem marny wieniec dwunastaka, który, sądząc po uzębieniu, uprawniony był co najwyżej do odznak szóstaka. Te trzy i czteroletnie jelenie wykształcają wieńce znacznie później od starszych i później je wycierają i później zrzucają. Nieraz jeszcze we wrześniu chadzają w scypule, a paradują wytartym wieńcem jeszcze wtedy, gdy stare byki dawno zrzuciły ozdoby łbów swoich. Widuje się je jeszcze z rogami nieraz w połowie kwietnia. Poznać je łatwo po niewielkich rozmiarach całego korpusu i po nikłym wieńcu — i każdy szanujący się myśliwy zatrzymuje kulę w lufie przy takiem spotkaniu. Począwszy od normalnego teoretycznego ósmaka i dziesiątaka, a więc od jeleni w wieku lat 5-ciu i 6-ciu, ustala się u byków forma i rozmach wieńca; ustają też niespodzianki w ilości odnóg, których liczba stosuje się już więcej do wieku byka. Byłe marne 10-taki i 12-taki stają się silnemi ósmakami i dziesiątakami, jeleń wstępuje w wiek męski, staje u progu apogeum swego rozwoju, co uwidacznia się w silnym rozwoju ciała i w coraz potężniejszym wieńcu. Jeleń staje się „łownym“, a jego wieniec wymarzoną zdobyczą najwybredniejszego łowcy.

Osiągnąwszy ten stopień rozwoju, zrzuca dojrzały jeleń swój wieniec w marcu, w rzadkich wypadkach już w lutym (nigdy wcześniej), a nowy wieniec ma już zupełnie wykształcony w czerwcu i lipcu, a zupełnie wytarty najpóźniej w drugiej połowie sierpnia.

Im jeleń jest starszy (nie mówiąc o zgrzybiałości), tem więcej przyśpiesza terminy zrzutu, odbudowy i wytarcia wieńca, tem rychlej rozpoczyna rykowisko.

Wszystko, co powyżej napisane, odnosi się do jeleni i kozłów zdrowych i żyjących swobodnie wśród przyrodzonych im warunków. Niewola, choroby, nienaturalna karma wpłynąć mogą tak u sarn jak i u jeleni na przesunięcie terminów kształcenia się i pozbywania się poroży.

Pisząc te krótkie uwagi, opieram się nietylko na powadze najwybitniejszych badaczy i myśliwych, lecz także wierzyć muszę i własnym swoim spostrzeżeniom, zebranym w ciągu lat kilkudziesięciu wśród, dosłownie, dziesiątków tysięcy sarn i licznych setek jeleni.

---

nieposłuszny wyżeł, który każdego spotkanego zająca zwykł być gonić najmniej dziesięć minut.

— Miły piesek — zauważył Tatar.

— A tak. Na wstępie tedy Tref wystawia kury. Zrywają się.

— Stryj strzela. Bach-bach — pudło.

— O psianoga — powiada Gruchała — to ten Mosiek, żyd-szelma, takie kiepskie naboje sprzedaje, że już nie wiem, czemu wielmożny pan bierze od parcha. Toć i krzyny prochu w nich niema.

— No dobrze. Idziemy dalej. Stryj naprzód — zły. Obeszliśmy kawał polowania. Więc jazda w buraki. Kury zrywają się niemal z pod nóg Trefa. Stryj strzela bach-bach. Dubleta.

— O psiakość — Gruchała drapie się za uchem — już też tak, jak wielmożny pan strzela, to nikt tu w całkim powiecie nie strzela.

Zadowoleni wyszukujemy wystrzelone stado. W tem Tref idzie za zającem.

— Gruchała, gwiżdź!

Gruchała gwiżdże przeraźliwie. Tref jest już na drugim szlagu.

— Gruchała krzycz!

Gruchała krzyczy:

— Tref! Tref!

A Tref zniknął gdzieś za krzakami. Po kwadransie wraca rozpromieniowany, z wywalonym na metr ozorem.

— Gruchała, bij!

Gruchała bije. Pochwycił jakąś witczynę mizerną i wali tak straszliwie, że Tref robi zupełnie zadowoloną mordę i zezuje jednem okiem, gdzieby tak można dopaść jakiego kota.

— Po egzekucji ruszyliśmy dalej.

I tak to niemal codziennie polowanie odbywało się w ten sposób i zgodnie z uświęconym przez lata ceremonjałem.

— Oj żebyż tak były kury! — zwrócił się major do Tatara — zapolowałoby się, prawda, kapitanie?

Lecz tamten się skrzywił.

— Mnie to nie ciągnie.

Żadne pióro nie zdoła opisać zjadliwości, z jaką uśmiechnął się Prus.

— Ha pewnie! — warknął. — Was ciągnie tylko grubsza zwierzyna!

— Co to ma znaczyć? — spytał surowo Tatar, kładąc rękę na ramieniu poirytowanego.

Ale Prus już się opamiętał.

WŁADYSŁAW CZERNIEJEWSKI

W PUSTYNIACH TURKIESTANU

1902 R.

(Z ŻYCIA AZJATY)

Petersburski Departament Dóbr Państwowych, na skutek mego podania, udzieliło mi zezwolenia na polowanie i kolekcjonowanie drapieżnych ptaków i zwierząt na całym obszarze zakaukaskiego terytorjum państwowego. Zachęcony barwnemi opisami fauny tych dalekich stron przez prof. Jerzego Wasilewskiego w „Łowcu Polskim“, wybrałem najpierw kraj Tałyszów, należący do chanatu Leukorańskiego, gdzie p. J. Wasilewski był na ów czas zarządcą lasów całego Bakińskiego okręgu. Kraj Tałyszów, wciśnięty dużym klinem między morze Kaspijskie, nizinne stepy Mughańskie, rzeki Araks i Astarę, sięga do podnóży perskich górskich łańcuchów Kara-Su i Kara-Dagu, jest zapewne jednym z najdalej na południe wysuniętym i najdzikszym zakątkiem Zakaukazia i najmniej przez europejskich myśliwych zwiedzanym, co tem więcej mnie jeszcze do zwiedzenia go zachęciło. W tej pierwszej w 1903 r. odbytej tam ekskursji, naocznie przekonałem się o wielkiej ilości i różnorodności zwierza, co mnie zachęciło do powtórnego zajrzenia w 1904 r., do tych niezgłębionych pustyń i dzikiego zakątka. Dziwnem zrządzeniem okoliczności w tej powtórnej bytności w Leukorańskim chanacie, spotkałem nad pograniczną rzeką Astarą, dawnego mego znajomego z pierwszej podróży, p. Seredowicza, konserwatora zoologicznego muzeum Teherańskiego, protektorem wielkim którego był ówczesny szach perski Nasser-Eddin. Seredowicz powracał z ekspedycją z kraju Zakaspijskiego, o którym opowiedział mi i o cudach tych dzikich stron, obfitości zwierzyny i jej niezwykłej różnorodności i odmianach.

Odtąd już nie miałem chwili spokojnej. Myśl ma ustawicznie błąkała po szerokich pustyniach Turkiestanu, a w bujnej mej wyobraźni, widziałem całe tabuny przesadzających dzikich baranów i kozłów, wąwozy i szczeliny gór Kopet-Dagu, kolczaste dżungle z włóczącemi się po nich barsami, panterami i tygrysami. Zapałałem nieprzepartą chęcią zwiedzenie tych puszcz, zajrzenia do ich serca, wyszukania tam dziwnego i nieznanego mi dotąd zwierza i zapolowania na niego. A że w tem całem życiu od powziętego jakiegoś zamiaru do doprowadzenia do wykonania, jeden tylko dzielił mnie skok zawsze, więc też jeszcze w końcu tego roku wsiadłszy w Z. do kurjera Wołoczysko-Bakińskiego, pędziłem całą parą wielkiej lokomotywy „Щ“ przez żyzne łany urodzajnego Podola, płaszczyźniane stepy Chersonu i Ekaterynosławia, przez zagłębie ziem wojska dońskiego, po podnóże uroczego Kaukazu, przez skalisty Dagestan, mijałem z zawrotną szybkością nadkaspijskie porty Petrowska i Derbentu i trzeciego dnia o świcie z szumem, turkotem i świstem wpadłem do smrodliwego, naftowego Baku. Znając ten czarny gród z mych poprzednich podróży, nie zatrzymuję się więc dłużej, jeszcze tego samego dnia, 1. września, wstąpiłem na pokład, odpływającego na przeciwległy brzeg Kaspisjskiego morza, kołowca „Olga“, stojącego na kotwicy w Apszerońskiej zatoce. Z zachodem słońca ostry świst, a raczej ryk syreny okrętowej, oznajmił podróżnym o wypłynięciu okrętu z portu. Zabrzęczały łańcuchy ściąganej kotwicy, z pochyłych kominów buchnęły czarne kłęby dymu ku niebiosom, warknęły pompy, maszyna gdzieś pod na-

---

— Ale nie. Wściekły jestem z nudów i o ubitego kozła. Widzieliście rogi? Przynieśliśmy je, żeby wam pokazać — patrzcie, co za perły mają!

— Stary być musiał! — zauważył Ewert.

— I mądry — dodał Matulewicz.

Tatar wzruszył ramionami.

— No, nie bardzo, skoro dał się utłuc.

Tu znów się żółć przewróciła w Prusie. Ale tylko chrząknął cicho i spojrzał na majora. Ten zaś rzekł:

— Wiecie panowie: rogacza zjemy, to jasne, ale kłopot z rogami. Są właściwie bezpańskie, a tu i ja mam ochotę na nie i Prus, a zdaje mi się, że młodzież także, więc co robić?

Obrócił się do Tatara i dodał słodko.

— Proszę was, kochanku, doradźcież, jak rozstrzygnąć tą sprawę?

— Czekajcie majorze — obcesowo wmieszał się Prus, umiejący swą rolę. — Mam dobrą myśl. Mojem zdaniem rogi powinien dostać ten z nas, kto najlepiej strzela.

— To znaczy, że wy — zauważył spokojnie Tatar.

Prus zrobił odpowiednio skromną minę, a major zaproponował:

— No moi panowie, głosujmy! Kto z nas obecnych jest najlepszym strzelcem?

— Kapitan Tatar — rzekli niemal równocześnie porucznicy.

— Tak i ja uważam — ucieszył się major, choć mu trochę żal było pięknych rogów. — Więc sprawa niemal ubita, a ja pozbyłem się kłopotu. Bierzcie kochanku rogi, nie odmawiajcie. No, panowie, zdrowie naszego najlepszego strzelca i kochanego służbisty.

Prus przyłączył się także do toastu. Jednakże Tatar zdziwiony wzbraniał się przyjąć rogi.

— Jakto, panie majorze? Skąd mnie rogi? Żonaty nie jestem, kozła nie ubiłem, więc cóż za sens w tem?

Ale tamci nie ustępowali. Z dziwnem rozczuleniem jęli mu ściskać ręce i nuże dogadywać, nuże prosić, by przecie swym uporem nie utrudniał sprawy. Więc Tatarowi przyszło na myśl, że to poprostu major albo Prus ubił rogacza i chce teraz odwrócić podejrzenie od siebie i pozbyć się rogów, o które się już napewno pokłócili.

Wziął tedy rogi do ręki. Oglądnął niby. A kątem oka dostrzegł i uśmieszki Prusa i dobroduszne zezowanie majora, wraz z porucznikami podziwiającego rogi.

szemi nogami ciężko stęknęła, zębate koła raźnie uderzyły o cichą wodę i statek kołysząc się i drżąc nieznacznie, wypływał na pełne morze. Co żyło i było na statku, wylęgło na jego pokład, by przyjrzeć się pięknej panoramie, amfiteatralnie na wzgórzu leżącego Baku, żegnającego nas tysiącznemi, różnobarwnemi światełkami z małych okien tatatarskiej dzielnicy miasta. Po godzinie zalotnie umykające nam światełka zaczęły gasnąć jedne za drugiemi, aż w końcu miasto zniknęło nam w ciemnej przestrzeni, tylko jeszcze czas długi przyświecała nam z „Dziewiczej Wieży“ morska latarnia, rzucająca za nami długie smugi żółtego światła.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KAZIMIERZ WYSOCKI

Z nad Sołokiji

(Dokończenie).

Polowanie więc idzie dalej — pies staje, dubelt się porywa, kuzyn mój strzela, ale równocześnie z nim strzela i Marmoross, a dubelt pada. Kuzyn ucieszony, nie daje psu aportować — sam biegnie, aportuje i przytracza dubelta. Taka sama operacja powtarza się jeszcze jedenaście razy. — Po przywieszeniu dwunastego dubelta na trokach, stawia kuzyn strzelbę pod kopicę siana — bierze Marmorossa w objęcia, serdecznie dziękuje mu, mówiąc: „Tak miłego polowania jeszcze w życiu nie miałem, ale, co prawda, tak dobrze jeszcze w życiu nie strzelałem“. — Żem wtenczas nie pękł ze śmiechu — temu jeszcze dziś się dziwię.

Ś. p. Ż., właściciel Korczowa, lubiący bardzo polowania kniejowe, ale nie polujący na błotach, woła raz Prokopa, kłusownika i leśnego z Korczowa i powiada mu: Na czwartek (było to we wtorek) potrzebuję 18 dubeltów, masz tu Lefauchówkę i 2 naboje, pamiętaj żebym miał 18 duleltów. „Ta jakże proszu ja jasnoho didicza, dwa patrony, a wisimnajcit dubeltiw — taż to ne może buty“ — odezwał się Prokop — na co usłyszał: „Rób sobie co chcesz, ja dubelty mieć muszę“.

I 18 dubeltów było.

Otóż w pierwszym rzędzie zastąpił Prokop brak legawca, dwiema tyczkami, które przywiązał sobie do nóg, a idąc spędzał co było w obwodzie tych tyczek. Po wystrzeleniu jednak obu naboi — każdy z nas stanąłby bezradny — Prokop jednak poradził sobie.

I zobaczył jeszcze inną rzecz, ciekawszą, rzucającą nowe światło na całą sprawę. Oto podchwycił ukradkowe, a pełne wściekłego iście chłopskiego zachwytu i pożądania, spojrzenie ordynansa swego Kazika, który udając że układa książki w kącie, wprost chłonął w siebie widok wspaniałych rogów.

Czarny kapitan Tatar był trochę psychologiem. Znał swych ludzi, więc i Kazika.

Zrozumiał. Uśmiechnął się tedy leciutko do siebie i przerywając zachwyty kolegów rzekł:

— Wiem dobrze. Zgadzam się, skoro panom chodzi tylko o pozbycie się rogów. Biorę je, ale pod warunkiem, że nie dla mnie i że mogę zrobić z niemi, co mi się podoba, dobrze?

— Ależ doskonale, kapitanie! Róbcie z niemi, co chcecie.

— Rzecz załatwiona.

Obrócił się.

— Chodź no tu, Kazik!

Przerażony ordynans potrącił leżącego na podłodze setera i w mig wyprostował się przed kapitanem.

— Tu masz rogi. Dla ciebie, chłopcze, No bierz! To za to, że tak dobrze czyścisz karabin, rozumiesz.

— Dziękuję, panie kapitanie.

Pochwyciwszy rogi, Kazik trzasnął piętami i galopem wycofał się do sionki. Najpierw tam w półmroku odetchnął głęboko, z ulgą. Potem pogładził pieszczotliwie rogi, szepcąc do siebie:

— Niema co — mój stary coś przewąchał. Choć on słowa nie piśnie, morowiec, a te niech się tam żołądkują. I tak nie spenetrują, kto kozła ubił. Starego, widać posądzają, ale on gwiżdże na te ich przekpinki. No grunt, że rogi moje! Ale że też bije ten jego karabin, że niech go pioruny! Jakem wygarnął, tak że się kozioł odrazu nakrył nogami. No grunt, że rogi moje, bo mi się też i należą!

Tu westchnął radośnie z całej piersi:

— O Ty dobry Boże! Jestże to jeszcze sprawiedliwość na świecie! Jest!

KONIEC.



Przerobił odtylcówkę na strzelbę nabijaną z przodu. W tym celu uciął nożem wystrzelone gilzy aż po blaszkę, podciągnął zębami sztyft, wyrzucił zużytą a podłożył pod sztyft nową kapslę, którą odpowiednio przycisnął. Następnie włożył w ten sposób spreparowane patrony do strzelby, zamknął takową, z góry nasypał proch, przybił go kłakiem, wreszcie wsypał śrut, który również przybił kłakami. — Operację tą powtarzał tak długo aż miał upolowanych 18 dubeltów.

Pewnego dnia, podczas ciągu dubeltów otrzyma mój ś. p. ojciec od dr. W. S. z Bełza list z prośbą o pozwolenie zapolowania na terytorjum Ostobuża na dubelty i o wysłanie na granicę tego terytorjum dozorcy polowania, któryby mu wskazał miejsce gdzie bywają dubelty.

Ojciec mój zawołał do siebie tego dozorcę i powiada mu: „Jutro o godzinie 11-tej przedpołudniem masz „za olszyną“ czekać na pana dr. W. S., który będzie polował na dubelty. Ty wiesz, gdzie się dubelty trzymają, pamiętaj, żeby były“.

Czekał więc ten dozorca w miejscu wskazanem, a gdy p. dr. W. S. nadszedł i zapytał go: „A są dubelty?“, dozorca podjął pęk dubeltów, które bez psa upolował po drodze, i tłumaczył się że jest ich tylko 15 dlatego, bo więcej nie miał amunicji. — Zirytowany dr. W. S. skrzyczał dozorcę, że sam ubił dubelty, zamiast zaprowadzić go na nie. Dozorca jednak zapewnił go, że zastrzeli dubeltów tyle, ile sam zechce. I rzeczywiście po upływie kilku godzin upolował dr. W. S. przeszło 30 dubeltów i skończył polować także dlatego, że wystrzelał całą amunicję, jaką posiadał.

Aby skutecznie polować na dubelty, trzeba znać dobrze teren, gdzie one przebywają.

Na terenie, na którym ja poluję, obejmującym przestrzeń około 3500 morgów, jest może 500 morgów takich, na których dubelty gromadzą się. Tych 500 morgów to nie jedna złączona, nieprzerwana przestrzeń. Na tych 500 morgów składa się kilkanaście miejsc. I tak na przykład: po opolowaniu przestrzeni 20 morgowej, gdzie zazwyczaj bywają dubelty, trzeba przejść kilkadziesiąt morgów, na których wcale dubeltów niema, aby dojść do miejsca, gdzie ich znów bywa dużo. Oczywiście ja znam te miejsca jaknajdokładniej. Były to i są do dziś miejsca przez dubelty ulubione i tam gdzie one przed przeszło 50 laty przebywały, tam i dziś ich trzeba szukać.

Błotnia, równoległa z doliną Sołokiji. na południe od Sołokiji o jakie 5 kilometrów, w linji prostej położona, dziś zupełnie uregulowana i całkiem osuszona, zawdzięczała swe istnienie wodom opadowym i dopływom wód z lasów przyległych. Było to na 2 do 3 kilometry szerokie i około 10 kilometrów ciągnące się bagnisko, nie mające naturalnego odpływu do żadnej rzeki. Dziś jest dopływem Bugu tak samo jak Sołokija i Rata.

Na tem to obszernem bagnisku, na którem bydło się nie pasało, a siano zbierano tylko w latach posusznych albo w zimie po zamrozi, gnieździły się żórawie i tysiące kaczek i krzyków.

Była to własność przeważnie włościan z Chlewczan, a polowanie wówczas ja dzierżawiłem.

Otóż z początkiem lipca, gdy już młode kaczki dość dobrze latały, urządzaliśmy gremialne polowania, w kilkanaście strzelb z nagonką, i braliśmy mioty całkiem normalne. Przez nagonkę wypłaszane kaczki, przelatywały przez linję strzelców i tam były strzelane. Wynik całodziennego polowania przekraczał niejednokrotnie cyfrę 100 podjętych kaczek. Przeważnie były tam krzyżówki, ale było i dosyć cyranek.

Błotnia ta była Eldoradem polowania na krzyki.

Jaka tam była obfitość krzyków, niech poświadczy fakt następujący.

W roku 1884 jako praktykant Namiestnictwa, przydzielony byłem do Starostwa w Rawie ruskiej.

Otrzymawszy od 20/7 urlop 5-cio tygodniowy, który spędziłem przeważnie u ś. p. ojca w Ostobużu, poszedłem przed odjazdem na urlop pożegnać się z rzym. kat. proboszczem w Rawie, księdzem ś. p. kanonikiem Bauchem.

Ksiądz kanonik zapraszał mnie do siebie na dzień 16 sierpnia na objad wydać się mający przez Niego, z okazji wizyty djecezjalnej księdza biskupa sufragana. Wyprosiłem się, tłumacząc się z całą otwartością, że szkoda mi dla tego objadu, tracić 3 dni z urlopu. No, dobrze, mówi ksiądz B., ale za siebie przyśle mi pan na ten objad dubelty. Że to jednak obiad miał być 16. sierpnia a u nas dubelty po 10. 8. już bywają rzadkością, przeto przeprosiłem, że dubeltów przysłać nie mogę, ale zato obiecałem przysłać kszyki. Na odchodnem powiedział mi ksiądz B.: „ale niech pan pamięta, że na objedzie będzie 50 osób“.

Trochę mnie to zdetonowało, bo 50 osób nakarmić kszykami to nie tak łatwo, zwłaszcza, że całą potrzebną ilość trzeba upolować najpóźniej na 4 dni przed obiadem — bo w sierpniu dłużej trzymane będą nie do użycia. Ale pomyślałem sobie — jakoś to będzie.

Widząc się z Marmorossem opowiedziałem mu, jaki przyjąłem na siebie obowiązek i prosiłem go aby mi pomógł. Umówiliśmy się więc, że dnia 13. 8. o godzinie 9·30 zjedziemy się w Bruckenthalu u księdza ś. p. Dwernickiego, (droga z Karowa i Ostobuża prowadzi przez Bruckenthal), aby zapolować na kszyki na Błotni. Dzień 13. 8. 1884 roku był ogromnie upalny. O oznaczonej godzinie, przyjechałem do Bruckenthalu, a za chwilkę nadjechał i Marmoross. Pierwsze jego słowa były „No, jak dziś jeden drugiego nie postrzeli, to będzie coś nadzwyczajnego, bo 1. polujemy dla księdza, 2. zjeżdżamy się u księdza, 3. w poniedziałek, 4. dnia 13-go“.

Pojechaliśmy dalej i około 10·30 rozpoczęliśmy polować. Około 4-tej popołudniu musieliśmy zaprzestać polowania, bo wskutek szalonego gorąca siły nasze i naszych legawców były zupełnie wyczerpane. Obliczyliśmy rezultat naszych łowów. Mieliśmy upolowanych 147 kszyków.

Nie pamiętam, aby kiedy strzelanie do kszyków było tak łatwe jak w owym dniu. Kszyki zrywały się na 10 kroków i leciały tak leniwie, że chybić było trudno. Ujemną stroną polowania na Błotni był fakt, że tam czasem na wyższych miejscach bywały jadowite żmije. Dla nas nie było niebezpieczeństwa bo polowaliśmy w bucikach wysoko sznurowanych, a ręce chroniły rękawiczki. Ja miałem jednak raz przykry wzpadek, bo moją sukę legawą ukąsiła tam żmija w głowę nad okiem. Choć wkrótce zobaczywszy miejsce ukąszenia, które jednak już w 15 minut po ukąszeniu było wielkości orzecha laskowego, przeciąłem je i zalałem silną wódką, mimo tego w ciągu godziny głowa była bezkształtnie spuchnięta. — Suka po 3. tygodniach wyleczyła się, ale od tego czasu nie była już z węchem w porządku, i z powodu braku tegoż nie była już w polu użyteczną.

Takie to mieliśmy błota. Dziś przedstawają się one całkiem inaczej. Błotni, dla myśliwego już niema, a za jakie ćwierć wieku, po ukończeniu regulacji Sołokiji, która postępuje żółwim krokiem, nikt nie zechce wierzyć, że tam, gdzie wówczas będą łany pszeniczne, dawniej ludzie topili się w bezdni bagien, ś. p. Ubysz polował z czółna na kaczki, a ja strzelałem dubelty.

KONIEC.



ADAM REMISZEWSKI

Kilka słów o Polskiem Prawie Łowieckiem.

(Rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z 3. grudnia 1927 r. Dz. U. R. P. Nr. 110. poz. 935).

(Dokończenie).

Postanowienia karne rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej o prawie łowieckiem są bardzo szczegółowe i jasne i nie pozostawiają żadnych wątpliwości.

O WYNAGRODZENIU SZKÓD ŁOWIECKICH I O OCHRONIE OD TYCH SZKÓD.

Polskie prawo łowieckie stawia słuszną zasadę, że szkody zrządzone w uprawach i plonach tak przez zwierzynę, jak i osoby polujące muszą być wynagrodzone. Kwestję tę traktuje ustawa bardzo poważnie z powodów zrozumiałych, jakkolwiek bowiem łowiectwo nie jest niczem innem, jak jedną z gałęzi gospodarstwa krajowego, to jednak ogół przedewszystkiem drobnych rolników, wyłączonych od samodzielnego wykonywania polowania patrzy na tę sprawę szczególnie niechętnem okiem i na zrządzone mu szkody jest wyjątkowo wrażliwy, co w następstwie wywołuje zadrażnienia natury społecznej, dla samego łowiectwa wielce niepożądane.

Stąd ustawodawca sprawę szacowania szkód reguluje bardzo szczegółowo, a wykluczając wszelką dowolność na tem polu, powierza rozstrzyganie tych spraw specjalnym sądom rozjemczym, z zaprzysiężonymi przewodniczącymi na czele.

Szkody, wyrządzone w uprawach i plonach rolnych przez dziki, jelenie, daniele i sarny obowiązany jest wynagrodzić w zasadzie właściciel, lub dzierżawca obwodu łowieckiego, względnie właściciele i dzierżawcy kilku obwodów łowieckich solidarnie, jeśli zwierzyna wyrządzająca szkodę ma przypuszczalnie swoją ostoję w kilku obwodach (art. 55).

Jeżeli jednak wymienione wyżej zwierzęta mają swoją ostoję na gruntach nie wchodzących do obwodu łowieckiego, obowiązek wynagrodzenia szkody ciąży na właścicielach tych gruntów (art. 56).

Postanowienie to jest najzupełniej słuszne, trudno bowiem wymagać n. p. od dzierżawcy obwodu czysto polnego, aby płacił za szkody zrządzone przez dziki, lub sarny, które właściciel, przyległego lasu z zamiłowaniem hoduje i rozmnaża.

Uprawniony do polowania ma obowiązek wynagrodzenia szkód uczynionych wykonywaniem polowania przez niego samego, przez jego gości, służbę i najemników (art. 57).

Poszkodowany winien w ciągu dni trzech po dostrzeżeniu szkody zgłosić żądanie wynagrodzenia na-

czelnikowi gminy, w której granicach leży odnośny grunt (art. 58).

Następnie o ile naczelnik gminy nie zdołał doprowadzić w zakreślonym terminie do ugody, sprawa przechodzi na sąd rozjemczy do spraw o wynagradzanie szkód łowieckich.

Stałym członkiem sądu rozjemczego jest przewodniczący mianowany na lat trzy i zaprzysiężony przez starostę.

Prócz niego wchodzą w skład sądu dwaj członkowie, wyznaczeni po jednym przez każdą stronę. Ilości sądów rozjemczych ustawa nie przewiduje, mówi tylko ogólnikowo w art. 60. że przewodniczącego i niezbędną ilość zastępców mianować należy w miarę potrzeby dla każdej gminy. Tak tedy o ilości sądów decyduje miejscowa potrzeba, a sąd jeden może obejmować i kilka gmin, zależnie od ilości i rozmieszczenia obwodów łowieckich. Sąd rozjemczy po nieudałej próbie doprowadzenia do ugody, orzeka większością głosów.

Orzeczenie sądu rozjemczego ulega przymusowemu wykonaniu przez sądy zwyczajne.

Odwołanie od orzeczenia sądu rozjemczego do sądu okręgowego jest dopuszczalne jedynie ze względów formalnych, t. j., gdy naruszone zostały przepisy o postępowaniu.

Poszkodowanemu wolno z pominięciem sądu rozjemczego zwrócić się na zwyczajną drogę sądową tylko w tym wypadku, jeżeli w ciągu dni 14., od dnia zamknięcia postępowania ugodowego przed naczelnikiem gminy — sąd rozjemczy nie wyda orzeczenia (art. 69).

Tak właściciel gruntu, celem uniknięcia szkód, jak też uprawniony do polowania celem uniknięcia płacenia odszkodowania mogą przedsiębrać pewne czynności ochronne, oznaczone w artykułach 70 i 71.

Mogą to być pewne urządzenia na gruncie, jak straszydła i t. p., byleby nie służyły do chwytania zwierzyny. Uprawniony do polowania może budować ogrodzenia, lub używać innych środków w ten jednak sposób, by one nie przeszkadzały posiadaczom gruntów w prowadzeniu gospodarstwa.

Ustawa polska podobnie jak zniesiona galicyjska, przewiduje także obławę, jako środek zapobiegawczy przeciw szkodom zrządzonym przez wilki i dziki.

Mianowicie, jeśli szkody zrządzone przez te zwierzęta przybierają poważne rozmiary, a właściciel, lub dzierżawca polowania na obszarze, na którym zwierzyna ta ma swoją ostoję, nie przedsiębierze skutecznych środków celem zapobieżenia szkodom, wojewoda może na skutek podania osób poszkodowanych, lub z urzędu zarządzić obławę na koszt właściciela lub dzierżawcy polowania w celu przetrzebienia zwierząt powyższych. Warto przypomnieć, że dawna ustawa galicyjska mówiła w podobnych okolicznościach wyraźnie o „tępieniu" wilków i dzików i nakazywała obławy, celem wytępienia tej zwierzyny, gdy tymczasem nowa ustawa łowiecka zna tylko skuteczne „zapobieganie" szkodom i obławy mające na celu „przetrzebienie".

Jest to tylko konsekwentne przestrzeganie zasady, że tak dziki, jak i wilki są zwierzętami łownemi, stanowiącemi przedmiot łowiectwa, o pewnej wartości gospodarczej, oraz cząstką rodzimej przyrody, którą ochraniać wypada i należy, bacząc tylko, by zbytnie rozmnożenie się tej zwierzyny nie narażało ludności na poważne szkody.



Wspomnienia z Międzynarodowych zawodów strzeleckich w Rzymie w r. 1927.

Po odbyciu zawodów eliminacyjnych i Narodowych zostałem wyznaczony do ekipy strzeleckiej na zawody Międzynarodowe tym razem w Rzymie, by poraz drugi reprezentować 19. p. p. „O. L." zagranicą. Już przed wyjazdem z Polski układaliśmy plany z naszym komendantem, pułkownikiem P. Martinim, komendantem C. S. S. w Toruniu i z wyznaczonym delegatem na Międzynarodowy zjazd strzelecki majorem rez. p. Kierzkowskim, jak wykorzystać tę piękną i zaszczytną dla nas okazję, w jakim porządku zwiedzić Rzym, przed czem zatrzymać się dłużej i t. d.

Wziąłem nawet ze sobą aparat fotograficzny, by zrobić kilka zdjęć pamiątkowych. Pewni siebie i pełni humoru wsiedliśmy do pociągu. Tymczasem już w drodze zawieruszono nam gdzieś na granicy naszą broń, którą mieliśmy w pace, jako wysyłce dyplomatycznej, broń, na której spoczęła cała nadzieja zwycięstwa, którą się znało w najdrobniejszych szczegółach. Skonstatowawszy ten smutny fakt, straciliśmy nieco na rezonie, i z lekką tremą mijaliśmy Wiedeń, Wenecję, Florencję, aż wreszcie stanęliśmy w Rzymie. Zrozumieliśmy, że niema chwili do stracenia, wszystkie plany wycieczek i przyjemności wzięły w łeb. Należało brać się do pracy i to gorączkowej.

Natychmiast pobraliśmy 10 sztuk karabinów wojskowych italskich, wypożyczyliśmy (za pieniądze) broń od Szwajcarów w ilości 3-ch karabinów, ponieważ więcej nie było, i zaczęliśmy się wstrzeliwać, używając sobie na przesuwaniu i piłowaniu muszek, szlifowaniu przyrządów spustowych karabinów włoskich. Po kilku dniach wstrzeliwania się w różnych kategorjach strzelań mniej ważnych, (za które nabijaliśmy kasę Włochom lirami) za wpisowe, nadszedł dzień najważniejszy... strzelanie zespołów z broni dowolnej na odległość 300 m., 4-ry serje po 10 strzałów z każdej pozycji.

W dniu 30. maja o godz. 7-mej rano zostaliśmy poddani tej ciężkiej próbie na wylosowanych stanowiskach Nr. 147, 148, i 149. Zaczęły się zawody. Oczy

wszystkich obecnych zwróciły się na stanowiska zajęte przez trzy szwajcarskie „asy“ strzeleckie: Hartmana, Pell'ego i Zimmermanna. Rozpoczęliśmy i my dobrze. Pierwsza serja równała się serji Zimmermanna 92 punkty na 100 możliwych. Hartman w pierwszych dwóch serjach osiągnął 97 i 94. Po stronie Szwedów spokój, natomiast na stanowiskach włoskich krzyk i gestykulacja. W innej znowu chwili ruch i ożywienie na stanowiskach amerykańskich. Bruce, młody strzelec amerykański zrobił 2 serje po 97 punktów, następnie 99 i skończył 95, osiągając 388 na 400 możliwych. Tymczasem nam szło gorzej. Serje po 91, 88, 89, w łącznej sumie 1608 punktów. Szwajcarzy 1667. Znowu u Szwajcarów wrzawa, bo Linhard wpakował w jednej serji 10 kul w dziesiątkę.

Godzina 12-ta, następuje 2-wu godzinna przerwa obiadowa. Okazuje się, że zostało nam na 5 godzin 400 strzałów do wystrzelenia i ostatnie nasze serje wypadły już o zmroku (godz. 8-ma wieczorem). Powietrze na lufach wibruje, strzały grzmią jeden po drugim, ruch na stanowiskach, zawody skończone zwycięstwem Szwajcarów. Mistrzem świata został Hartman, bijąc 1105 na 1200 możliwych punktów.

Znużeni i nerwowo wyczerpani, lecz nie zrezygnowani, odjechaliśmy do Hospitium Św. Stanisława (nasza kwatera) by odpocząć i zaczerpnąć sił do nowych zawodów, w strzelaniu z broni włoskiej typu wojskowego. Przy tych zmaganiach poszło nam lepiej. Powodzenie zaśmiało się do nas i gdyby nie Włosi, którzy dopuścili się korekty wyników naszych zawodników, obcinając nam po kilkanaście punktów, bylibyśmy na pierwszem miejscu, a tak pozostało nem tylko 2-gie, 7-me, 8-me i 13-te.

Bogatsi o jedno doświadczenie więcej, wróciliśmy do kraju rozczarowani gościnnością Włochów. I tak szereg nieprzewidzianych od nas niezależnych okoliczności spowodował, że wynik zawodów nie odpowiadał naszym oczekiwaniom, nie zadowolił w zupełności naszych gorących pragnień i wysiłków, by stanąć na pierwszem miejscu. Nie mniej jednak sądzę, że udało się nam przyczynić do dotychczasowych wyników strzeleckich polskich wcale nie poślednie zwycięstwo.

Kpt. Borzemski.



Streszczenie referatu

„ŁOWIECTWO I JEGO PRZYSZŁOŚĆ W POLSCE“

wygłoszonego przez p. Stanisława Kamockiego

w Małopolskiem Towarzystwie Łowieckiem we Lwowie, oraz na Zjeździe Łowieckim w Stanisławowie,

w dniu 28. i 30. marca 1928 r.

Łowiectwem w znaczeniu pierwotnem nazywano sztukę zdobywania zwierzyny. Jeżeli określenie takie łowiectwa było właściwem w dawnych czasach, to obecnie jest ono niewystarczającem, gdyż łowiectwo jako odrębna gałąź gospodarki krajowej obejmować musi też i racjonalną hodowlę zwierzyny. Doniosłość rozwoju łowiectwa dla kraju zrozumianą została przez obecny nasz Rząd, czego wyrazem jest niedawno w życie wprowadzona ustawa łowiecka, stwarzająca podwaliny do dalszego rozwoju łowiectwa w Polsce, o co troszyć się winien obecnie ogół myśliwych.

Jedną z przyczyn, dla którego łowiectwo w Polsce stoi na stosunkowo niskim poziomie, jest brak orjentacji i niedocenianie ważności sprawy z punktu widzenia gospodarczego kraju. Podobnie jak u nas obecnie, zapatrywano się też dawniej na łowiectwo i na zachodzie, czego dowodem debaty, jakie miały miejsce w parlamencie pruskim w marcu roku 1909, kiedy przy omawianiu sposobów zwiększenia dochodów państwa, zastanawiano się również między innemi i nad sprawą łowiectwa, jako źródła dochodów. Poruszenie tej sprawy wywołało wówczas ożywione debaty nietylko w parlamencie, ale i na łamach prasy codziennej, przyczem zwalczano się wzajemnie na temat, czy łowiectwo wogóle może być poważniej traktowane. Następstwem tej polemiki, jaka się wywiązała, było ogłoszenie drukiem pracy niejakiego Erlera, który przy pomocy pruskiego ministerjum rolnictwa z iście niemiecką pedanterją zgromadził dane statystyczne za okres 25 lat, dotyczące rozwoju łowiectwa w Niemczech. Cyfry te były tak wymowne, że najwięksi sceptycy zostali przekonani i odtąd pogląd na łowiectwo uległ zasadniczej zmianie, przeistaczając łowiectwo w jedno z poważnych źródeł dochodów państwa i poszczególnych właściciel terenów łowieckich.

Brak jakichkolwiek danych statystycznych uniemożliwia zilustrowanie obecnego stanu łowiectwa w Polsce, posiłkując się jednak danemi statystycznemi zaczerpniętemi z Niemiec, Austrji i Węgier, dojść musimy do wniosku, że co możliwem było do osiągnięcia na tem polu na zachodzie, możliwem jest i u nas, tembardziej, że Polska ma wszelkie warunki do rozwoju łowiectwa niezbędne, a pod pewnemi względami przedstawia sobą nawet warunki korzystniejsze, posiadając takie knieje, jakie są u nas na kresach wschodnich i w Karpatach.

Wedle danych statystycznych, zaczerpniętych w „Preuss. Statistik“, Wildabschuss, 1885, str, 21, odstrzał zwierzyny w Prusach w roku 1885/6 wynosił:

14.986	szt.	jeleni	397	szt.	głuszczów
8.585	„	danieli	6.036	„	cietrzewi
109.702	„	sarn	2,521.868	„	kuropatw
9.391	„	dzików	139.628	„	bażantów
2,373.499	„	zajęcy	362.000	„	kaczek, beka-
314.116	„	królików dzikich			[sów, słonek i t. p.

co przy ówczesnej cenie za jelenia 39 mk., daniela 21·50 mk., sarny 16·50 mk., dzika 24·45 mk., zająca 2 mk., kuropatwy —·75 mk., bażanta 3·65 mk. i kaczki 1 mk. wynosiło sumę mk. 10,991.388.

Dane z roku 1907/8 wskazują znaczny przyrost zwierzyny.

I tak zabito w tym roku w Prusach:

20.000 szt. jeleni		3,500.248 szt. zajęcy	
13.000 „ danieli		3,782.000 „ kuropatw	
160.000 „ sarn		559.000 „ bażantów	
7.000 „ dzików			

Według cen z roku 1908 (Deutsche Jäger Zeitung, 1908, Nr. 4.) wartość zwierzyny ubitej wynosiła 16,986.000 mk., a więc wzrosła w stosunku do roku 1885 prawie o 100%.

Gdyby nie brać pod uwagę dalszego wzrostu zwierzostanów, wynosiłoby to podług cen obecnych czterdzieści miljonów marek, czyli około 80 miljonów złotych. Sumę tę uzupełnić trzeba jeszcze wpływami ze sprzedaży zwierzyny żywej zarodowej, oraz skórek zwierząt futerkowych, których ceny w tymże czasie wzrosły o 400%. Konsumentami tych znacznych ilości zwierzyny były miasta z Berlinem na czele, które to miasto samo skonsumowało w r. 1906 (Deutsche Jäger Zeitung, Bd. 50, Nr. 43.) 9.000 szt. jeleni, 5.000 szt. danieli, 33.000 szt. sarn, 420.000 zajęcy, 250.000 królików dzikich, 3.200 dzików, 85.000 bażantów, 432.000 bażantów, 13.500 kaczek dzikich przy 2,060.777 ówczesnej ludności Berlina.

Z zamknięciem sezonu polowań w r. 1907 w jednej tylko z wielu chłodni w Berlinie zamrożono i zaplombowano 3.000 sarn i 50.000 zajęcy a w takiejże chłodni we Frankfurcie 31.000 szt. zwierzyny.

(Dokończenie nastąpi).

Sztuczne tropy zwierzyny jako środek pomocniczy przy układaniu psów myśliwskich.

W czasopiśmie „Deutsche Jäger Zeitung" z dnia 8. lipca b. r. znajdujemy ciekawe sprawozdanie z badań przeprowadzonych przez dra Ströse w Instytucie Łowiectwa w Berlinie nad sporządzaniem sztucznych tropów zwierzyny. Jak wiadomo, przy układaniu młodych psów wyśliwskich, niezmiernie ważną rzeczą jest wyrabanie u psa węchu, by należycie umiał się nim posługiwać przy wyszukiwaniu i tropieniu zwierzyny. Stosowanie do tego celu krwi bydlęcej, którą zawsze można mieć świeżą, o tyle nie jest wskazane, że psa nie przyucza się w ten sposób do odróżnienia śladów rozmaitych gatunków zwierzyny.

Wzgląd ten jest niezmiernie ważny, jeśli się weźmie pod uwagę, że poza wyżłami istnieje cały szereg ras psów myśliwskich, które wyłącznie tylko do polowań na pewne gatunki zwierzyny służą, jak n. p. psy na dziki, na lisy i t. p., w których to wypadkach węch musi być u psa, szczególnie w tym lub innym kierunku wyrobiony. Trudności w uzyskaniu podobnych preparatów polegały dotychczas na tem, że krew zwierzyny nie mogła być zbyt długo przechowywaną, gdyż skutkiem rozmaitych bakterji gnilnych, które najczęściej do wnętrzności do krwi się dostawały, krew taka ulegała szybkiemu psuciu, tężała i zatracała skutkiem rozkładu swój właściwy specyficzny zapach.

Dzięki doświadczeniom dra Ströse w Instytucie Łowiectwa w Berlinie przeprowadzonym, trudności te udało się całkowicie usunąć i obecnie istnieje możność uzyskania preparatu, dającego się po kilka miesięcy przechowywać bez zatracenia wszelkich właściwości, aką posiada krew świeża danego gatunku zwierzyny. W tym celu do krwi zebranej do butelki ze świeżo upolowanej zwierzyny dodaje się około 2—3% Natrium citricum i kwasu bornego t. j. mniej więcej po łyżce stołowej na dużą butelkę od wina.

Próby z preparatem w ten sposób sporządzonym wykazały, że po upływie nawet 6-ciu miesięcy nie zatracał on nic ze swych właściwości, warunkiem jednak niedzownym jest, by był przechowywany w chłodzie t. j. w piwnicy w szczelnie zamkniętem naczyniu. Przechowywany w cieple powoduje znacznie szybszy rozkład a nadewszystko zatraca specyficzny zapach.

Dobrym środkiem konserwującym krew jest chloroform, który jest jednak znacznie droższy i powoduje zbyt szybkie zatracenie właściwego zapachu krwi.

Inż. Kamocki
dyrektor Pierwszego Polskiego Instytutu Łowiectwa w Stanisławowie

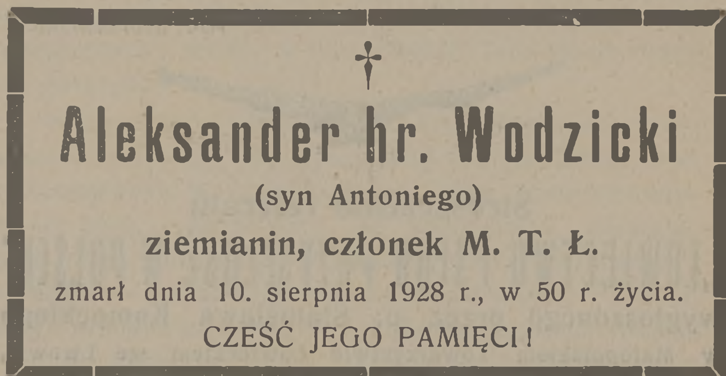
Sprawy Towarzystwa

SPRAWOZDANIE
z posiedzenia Wydziału M. T. Ł. w dniu 2. sierpnia 1928 r.

Przewodniczy: Prezes Juljusz hr. Bielski; obecni: wiceprezes A. Sander; członkowie wydziału: inż. A Ebenberger, St. Pieńczykowski, Dr. J. Rosienkiewicz zastępca: St. Jaśkiewicz. Nieobecność usprawiedliwili; wiceprez. C. Czarkowski-Golejewski i A. Mniszek, tudzież Dr. I. Śnieszek.

Przestudjowano nadesłany przez Centralny Związek projekt zmiany Statutu i stosownie do życzenia Związku poczyniono doń uwagi, które ujęto we formę samoistnego projektu Statutu.

Przyjęto do wiadomości pismo Polskiego Związku myśliwych w Poznaniu, zapraszające do wzięcia udziału w dziale łowieckim Powszechnej Wystawy w Poznaniu i powzięto rezolucję zachęcającą małopolskich myśliwych do wzięcia udziału w tej Wystawie, tudzież do zgłaszania w biurze M. T. Ł. mających się wysłać eksponatów, a w szczególności tych, które były premjowane na Wystawie Sportowej we Lwowie w r. 1927.



Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek. Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego.

Z Drukarni Narodowej, Lwów, Szajnochy 2. — Tel. 21-35.